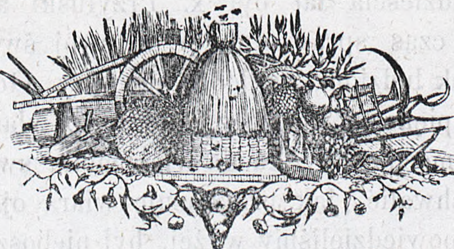
Tom XII. Nr. 9.

21. marca 1865.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Xiądz Leon Przyłuski,

arcybiskup poznański i gnieznieński.

Ciężko dotknął Pan Bóg naszych braci w poznańskiej krainie! Zmarł im dnia 12 marca tego roku ich arcypasterz ukochany Xiądz Leon Przyłuski. Tam gdzie była kolebka naszego narodu polskiego, gdzie to w pobliżu żył praojciec naszych królów polskich, kmieć Piast, w Gnieznie i Poznaniu, był zmarły ten xiądz Przyłuski arcybiskupem.

Wielce zacny i bogobojny był to mąż, gorliwy sługa Boży, dbały o dobro dusz powierzonych sobie, a przytem Polak serdeczny, co miłował swą ojczyznę nad wszystko na świecie. Dla tego też my wam o nim podajemy wiadomość w Dzwonku, abyście sobie spamiętali imię tego polskiego pasterza, co tak kochał naród polski i jego ziemię!...

Xiądz Leon Przyłuski urodził się w r. 1789, dożył więc 79 lat żywota. W roku 1814 został xiędzem i miał pierwszą mszę świętą, a pożniej dla swej wielkiej zacności i pobożności prędko został dziekanem, potem prałatem a po śmierci xiędza

arcybiskupa Dunina, co to po nim może niejeden z was ma książkę od nabożeństwa, arcybiskupem gnieźnieńskim i poznańskim.

Przez dwadzieścia lat był x. Przyłuski arcybiskupem a przez ten cały czas sprawował urząd swój święty na chwałę Bogu, na pożytek ludziom, na dobro ojczyzny. Gdzie tylko mógł, budował albo upiększał kościoły, nieraz z własnego grosza, i starał się o to mocno, aby każda wieś miała swego proboszcza i mogła Boga chwalić, jak przykazuje wiara ojców naszych.

A jak już powiedzieliśmy wyżej, był nieboszczyk Polakiem, jakich mało i jak tylko mógł, zawsze na dobro narodu polskiego działał. Nietylko on modły do Boga za nas biednych Polaków i naszą ojczyznę urządzał, ale i wszędzie za swym krajem się wstawiał, czy to w Rzymie u Ojca świętego, czy to u króla pruskiego, pod którego panowaniem jest Poznań i Gniezno — a śmiało i prosto z serca upominał się o prawa nasze polskie. Pan Bóg Najwyższy, którego był wiernym sługą i kapłanem policzy mu to w niebie, a my westchnijmy za nim do tronu Przedwiecznego, jako za pobożnym i serdecznym pasterzem polskim!...

Wszyscy go też poważali i kochali bardzo, a Ojciec święty miłował go jak syna. Zmarły arcybiskup dwa razy jeździł do Rzymu, a Ojciec święty oba razy przyjmował go mile i łaskawie. Raz był w r. 1857, kiedy to ogłoszono Niepokalane Poczęcie Najświętszej Panienki, drugi raz w r. 1862, kiedy nowych męczenników w poczet świętych przyjmowano. Papież zrobił go hrabią rzymskim i dał mu dostojeństwo przy swym tronie a właśnie dopiero co miesiąc temu, kiedy mu Ojciec święty przysłał w podarunku tę samą gromnicę, którą sam niósł w rękach na procesji Najśw. Marji Gromnicznej w Rzymie.

Jeździł także nieboszczyk arcybiskup Przyłuski do Węgier, gdzie zawoził w roku 1855 z wielką uroczystością relikwię, to jest trochę szczątków św. Wojciecha, o co go kapłani węgierscy i ich arcybiskup mocno upraszali.

Jeszcze przed dwoma tygodniami był xiądz arcybiskup zdrów całkiem, a gdy nagle na gorączkę zachorzał i lekarze powiedzieli, że życie jego jest w wielkiem niebezpieczeństwie, zażądał zaraz sakramentów świętych i z wielkiem nabożeństwem

je przyjął. W parę godzin poźniej stracił przytomność. Śmierć miał nie ciężką, konanie krótko trwało.

Jeszcze przed śmiercią dawali znać z Poznania do Rzymu do Ojca świętego przez telegraf, że arcybiskup ciężko chory. Ojciec święty zaraz z wielkim żalem odpisał także telegrafem i przysłał mu swoje błogosławieństwo, ale już xiądz Przyłuski nie żył.

Gdy dzwony poznańskie żałobnie zadzwoniły, lud ogromnie żałował swego pasterza i smutek był w całem mieście — a teraz całe Poznańskie jak gdyby osierociało!

Poszlijmy i my westchnienia nabożne do Nieba za xiędzem Przyłuskim!

Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie a światłość wiekuista niech mu świeci! Amen.

Pieśń poranna.

(Na nutę pieśni nabożnej: „Dobra noc Jezu kochany i t. d.“)

Z Twojej łaski wieczny Boże
Dzis rano my wstali,
Byśmy wszyscy jak kto może
Cześć tobie oddali,
Cześć i chwałę Stwórcy swemu
Jako panu najlepszemu
Ze serca.

Tyś nas stworzył, byśmy Ciebie
Dzień i noc chwalili,
Byśmy jako święci w niebie
Byli Tobie mili,
Przyjmże nasze modły, pienia,
Nasze serca i westchnienia
Łaskawie.

Ileż braci zeszłej nocy
Zdrowymi zasnęli,
Dziś już zmarli z Twojej mocy,
Przed sądem stanęli!
Nam zaś jeszcze życie dałeś
I swą łaskę na nas zlałeś
Niegodziwych.

Uznajemy dar ten miły
Z ręki Twojej dany,
I wołamy z całej siły:
Boże nasz kochany!
Daj nam życie długotrwałe,
Lecz niech będzie święte całe
Bez grzechu.

Daj nam zdrowia, ulecz rany,
Wszystkich naszych braci.
Niechaj lud Twój tak stroskany
Wiary swej nie traci
Daj nam Boże lepszą dolę,
Zagój nasze gorzkie bole
Na zawsze.

Pobłogosław naszej ziemi
Aby nas żywiła,
Otocz ją darami swemi
By szczęśliwą była!
Niech się na niej nikt nie smuci
Nikt nie płacze i nie kłóci
Dla nędzy.

Jeśli Boże! z Twych wyroków
Trafi śmierć którego,
Zeszlij anioła z obłoków,
By strzegł duszy jego!
By żalem zmazał swe winy,
Wszedł do niebieskiej krainy
Na wieki. Amen.

Jan z Zabratówki.

Zbrodnia odkryta,

czyli:

Prawda zawsze na wierzch wychodzi.

Sieniowce, wieś to sobie setnie piękna, gospodarna i zamożna. W niej ludzie rozpowiadają historyę, która nie bardzo dawnemi czasy się stała, a była taka:

Żył sobie tamże pewien kmieć, nazwiskiem Grzegorz Palik. Miał chałupinę nie maleńką i spory kawał pola ornego, przed

chatą ryczała krowa co wieczora, gdy powróciła z łąki, słowem bieda nie zaglądała mu w oczy. Pan Bóg pobłogosławił mu i na zdrowiu i na dobytku, dał mu nawet żonę młodą, ot jak to mówią ludzie, szczęście samo się uśmiechało do niego, że nie potrzebował tylko robić i Boga chwalić. Ale czy myślicie, że nasz Grzegorz przestawał na tem? Gdzietam. On ciągle pragnął coraz więcej posiadać i nigdy się nie mógł zaspokoić. Ba prawda, że każdy niemal człowiek pragnie czegoś więcej nad to, co ma, stara się za Boską pomocą osiągnąć i myśli sobie: ano niech to dzieciom moim służy, — ale ów Grzegorz nie zważał na nic i wszelkiemi niegodziwemi sposobami przysparzał sobie majątku. Bywało nadejdzie święta niedziela. Dzwonek odzywa się z kościoła; ludzie spieszą świątecznie przybrani do świętego miejsca, aby pokłonić się Panu Bogu i wysłuchać służby Bożej i nauki plebana; a Grzegorz jedzie do miasta albo medytuje w domu nad marnemi rzeczami, do kościoła ani zajrzy, a jak zajrzy, to czem prędzej ucieka. No, popatrzcie się moi kochani, u niego pieniądz pierwszy był niż Pan Bóg, majątek lepszy niż uczciwość i spokojne sumienie, snać zapomniał całkiem, że to rzeczy są nikłe, że je po śmierci ze sobą do ziemi nie zabierze a za życia jeszcze i złodziej ukraść i woda zabrać i ogień spalić może.

K o g o B ó g c h c e u k a r a ć, t e m u r o z u m o d e j m i e. To przysłowie sprawdziło się na naszym Grzegorzu. Zapomniał się bowiem nareszcie tak, że nie lękał się i strasznego występku dopuścić dla marności świata.

Śnieg się bielił na dworze, gwiazdy iskrzyły się na niebie a miesiączek świecił jasno nad chatkami, gdy Grzegorz skradał się zaułkami, a widocznie jakieś nieczyste miał zamiary. Boć i na twarzy widać było jakieś pomięszanie i niepokój, i z oczów źle mu patrzyło.

Na końcu wioski stała samotna chatka, koło niej przystanął Grzegorz a oglądnąwszy się na około mocno zakołatał. W chatce na łóżku leżał stary Błażej. Siedemdziesiąt razy witał on zieloną wiosenkę, a włos jego jak mleko biały. Sam zamieszkiwał chałupę. Od trzech lat spoczywała żona jego w ziemi, a syna jedynaka zabrano dawno w rekruty. Błażej

ciągle tęsknił za synem, rad chciał jeszcze przed śmiercią go oglądać, oczekiwał go i pracował dla niego. Ludzie mówili, że uciułał znaczny worek pieniędzy i chował na gospodarstwo dla syna, jak powróci z wojaczki. Skoro usłyszał kołatanie wstał starowina z posłania, otworzył drzwi i wielce się zdziwił na widok Grzegorza.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! coć się wam stało, że tak późną nocą przychodzicie?

— Ot potrzeba, potrzeba, ojcze Błażeju zmusza mię wstąpić do chaty! — odpowiedział Grzgorz nie pochwaliwszy nawet imię Pańskie.

— Czy wam co brakuje, czy żona może zaniemogła? — pyta Błażej, patrząc się na zarzące się jak iskry oczy Grzegorza.

— Żona zdrowa — prawi Grzegorz — ale brakuje nam pieniędzy na gospodarstwo, dalibyście też na zapomogę ten worek, co go to chowacie nie wiedzieć na jaki czas.

— Nie żartowalibyście Grzegorzu — odpowiada Błażej — zebrałem Bogu dzięki nieco grosiwa, ale to nie moje, to wszystko syna.

— Bóg wie, kiedy wasz syn powróci, może dobrze je surową ziemię; zresztą musicie mi dać wszystko co macie.

— Nie dam — woła Błażej — nie chcę syna mego robić żebrakiem.

— Ha, kiedy nie dacie, to sam wezmę! — odburknął Grzegorz i rzucił starowiną o ziemię.

Zrobiło się cicho. Przez okienko zaglądnął miesiąc srebrzysty i oświecił wnętrze chatki. Grzegorz zaczął gospodarować po skrzyni.

— Czekaj rabusiu — zawołał w tem podnoszący się z ziemi starowina — nie ujdzie cię kara Boża za to. Nie ma tu nikogo, ale ten miesiąc, co tak jasno świeci, on cię widzi, on cię sam wyda!

Zaśmiał się Grzegorz przy tych słowach, trącił jeszcze silniej Błażeja, który bez ducha już padł na ziemię bo choremu starowinie nie wiele już do śmierci brakowało. Grzegorz długo potem gospodarzył po chacie.

Nazajutrz rano cała wieś mówiła o zrabowaniu i zabiciu starego Błażeja, ale nikt nie wiedział, kto to zrobił. Po nie-

jakim czasie i słych o tym wypadku zaginął. Ale czy myślicie, że na wieki ukryło się to okrutne występstwo. O, nie! Bóg, sprawiedliwy sędzia, nie dozwolił tego. Słuchajcie dalej a dowiecie się, że się sprawdziła przepowiednia staruszka.

Od tego czasu minęło już kilka lat. Na Grzegorza obejściu stoją nowo przybudowane stodoły a w nich zboża pełno aż pod same strzechy. Ludziska prawią o nim, że bogaty i szczęśliwy. Już co do bogactwa słusznie mówią, bo u Grzegorza wszystkiego podostatkiem, czego człek tylko zapragnął, ale szczęśliwym on nie był i nie jest. Twarz jego blada zdradza cierpienie. I w samej rzeczy cierpi on wiele. W sercu zawsze coś niepokoi i jak robak toczy wnętrze jego. Pamięć o zbrodni ani na chwilę nie daje mu pokoju. Rzadko kiedy może zasnąć w nocy a wtedy okropne sny budzą go prędko. Była to pierwsza kara Boża na takiego zbrodniarza. Teraz dopiero poznał, że spokojne sumienie lepsze nad drogie kamienie.

Na dworze już północ była a koguty po raz pierwszy piać zaczęły. Księżyc swem jasnem światłem oświecał chatę Grzegorza, który wił się jak żmija na swojej pościeli, ale nie mógł zasnąć. Przypomniała się mu noc ta, kiedy to on szedł do Błażeja, a dziwnie jakoś do tej podobna była. Spojrzał na świecący miesiąc i przypomniały się mu słowa starego i głęboko się zadumał. Nareszcie podniósł się z łoża i spojrzał na drugi kąt izby, gdzie na posłaniu leżała żona i zawołał:

— Barbaro! spisz czy nie?

— Nie spię — odezwał się głos żony.

— Czy pamiętasz tę noc — prawi Grzegorz — kiedym się wybrał do nieboszczyka Błażeja.

— Oj dobrze pamiętam — odpowiedziała Grzegorzowa — i właśnie ona teraz mi na myśli ciągle stoi tak, że spać nie mogę.

— Hm... i ja także — rzecze Grzegorz — ale przypomniałem sobie coś, o czem tobie dotąd nie wspomniałem. Posłuchajno, co też ten stary nie bajał! Powiedział, że mnie miesiąc wyda! A gdzież on może zstąpić na ziemię i przemówić do kogo.

— Ot głupi stary! — odpowiedziała Grzegorzowa i oboje zamilkli. Jakoś straszno im się zrobiło, złe przeczucie mocno

ich trapić poczęło i zamyśleli się tak głęboko, że nawet nie słyszeli, jak się w kominie coś stuknęło. Wśród takiej zadumki już i ranek świtać zaczynał, gdy Grzegorz usłyszał hałas koło domu a przez okienko ujrzał, jak kilkoro ludzi weszło na podwórze jego. Przestraszony zerwał się prędko na równe nogi i otworzył drzwi. Wójt i inni weszli do chaty.

— Grzegorzu — odzywa się wójt zaraz na wstępie — nie wiecie, kto to zabił starego Błażeja?

Grzegorz po takiem przemówieniu zbladł jak ściana, ale prędko się opamiętał i odrzekł:

— A gdzieby tam to ja wiedział, panie wójcie, wszak wiecie, że stary na drugim końcu wsi mieszkał.

— Ba, przecież samiście się przyznali, że wy to zrobili — prawi wójt dalej — i to jeszcze tej samej nocy.

— Ej, nie żartowalibyście na wasze stare lata — odpowiada niby zagniewany Grzegorz, — gdzieby tam człowiek mógł o tem gadać, czego nie zrobił!

— Ha, kiedy tak chcecie, to wam powiem, żeście mieli nawet świadka, który was słuchał i tu pokazał na stojącego opodal człeka, który na wezwanie wójta całą rozmowę Grzegorza z żoną powtórzył.

Grzegorz stanął jakby skamieniały. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, jakim sposobem mógł ten człowiek wiedzieć, co on do żony gadał, kiedy prócz ich dwojga nie było więcej nikogo w świetlicy; toż gdy po chwili z zadziwienia nieco przyszedł do siebie, chciał się go już zapytać o to, kiedy tenże uprzedzając Grzegorza, sam jął rozpowiadać.

No i posłuchajcie moi mili, pokazało się, iż ten człowiek opowiadający był to złodziej. Otóż jak to zwykle bywa że równy na równego dybie, chciał on dom Grzegorza obekraść i spuściwszy się dla tego do komina czekał, póki w chacie nie pozasypiają, a że właśnie Grzegorz ową rozmowę swoją prowadził, wysłuchał wszystkiego, poczem gdy sumienie go wielce na tak straszny występek ruszyło, czemprędzej wylazł i dał znać wójtowi.

Skoro to usłyszał Grzegorz, bardzo się zadumał a po chwili zawołał:

— Prawdziwy to dopust Boży! Dziś widzę, że nie głupio mówił stary, iż mię z czasem miesiąc wyda, bo trzeba było, aby mi światło jego przypomniało słowa Błażeja i skorciło do rozmowy z żoną. Teraz poznaję, że żaden występek nie zdoła się ukryć, choćby człowiek skrycie go popełnił i nie wiedzieć jak ukrywał, bo Sprawiedliwość Boska czuwa nad ludźmi i prędzej lub później każdą złą sprawę odkryje i ukarze.

Po tych słowach oddał się sam w ręce wójta, aby odstawił go do sądu i tam otrzymał zasłużoną karę.

Tę historyę spisałem naszym ludziom na naukę: że jak w wodzie oliwa na wierzch wypływa, tak i prawda zawsze na wierzch wyjść musi. Daj Boże, aby nasz naród polski lubował się ciągle w tej prawdzie, a niech go Matka Boska chroni od takich ludzi, jak ten Grzegorz Palik.

Wincenty z Podkamienia.

Kto się chce w pszczoły zapomódz, co zważać powinnien?

Kraj polski słynął przed laty z miodu i wosku. Miód i wosk wywozili Polacy do innych krajów, za co krocie tysięcy złotych do Polski wpływały. Na własny użytek zostawiali sobie nietylko tyle miodu, ile potrzebowali na cały rok do picia zamiast wódki, ale gotowali do zachowania go na długie lata. Wosku bardzo wiele sami spotrzebowali, bo w każdym dworze i w porządnych domach tylko woskowych świec używali. Cóż dopiero spotrzebowały kościoły parafialne i tak liczne klasztory, jakie dawniej były! Czemuż tego wszystkiego było tak wiele? Oto, bo nieomal każdy wieśniak chował pszczoły nie jeden, lub dwa ule albo kószki, ale pięćdziesiąt, sto, lub więcej uli. Pójdźmy dzisiaj od wsi do wsi i przypatrzmy się pilnie po zagrodach, to zobaczymy też pszczoły, ale tylko tyle, ile na lekarstwo samiby dla siebie miodu potrzebowali. Wyjątek dzisiaj robią jedynie księża, nauczyciele i niektóre dwory, że się szczerze zajmują chowem pszczół. Jedyna Ukraina i Podole zachowały

dawną sławę Polski, bo i dziś jeszcze mają tak wiele pszczół, że znaczny handel prowadzą miodem i woskiem, a dla siebie robią sławny miód do picia pod nazwiskiem lipiec. Znają tam wielkość pożytku i zbierają wielkie sumy pieniędzy z obcych krajów. Wiedzą, że przy chowaniu pszczół mniejsze zatrudnienie, aniżeli przy utrzymywaniu i chowaniu innych zwierząt domowych. Nie potrzeba im przysposabiać żywności, ani latem, ani na zimę, bo one same o sobie pamiętają, nie potrzeba ich do obory wganiać, ani pasterza do nich trzymać, cała praca około nich: dać im miejsce spokojne do wygodnego wylatywania.

Kto pszczoły kupuje, albo innym sposobem nabywa, niechaj głównie na to uważa, żeby tylko w dobre się zaopatrzył, a nie w nikczemne, bo z takich niczego dobrego dochować się nie można. Często się tak nie dzieje, a potem zwykłe mniemanie, że się niekażdemu pszczoły szczęszczą; na dobre rady przesądni ci ludzie nie zważają, tylko ręce opuszczą i porzucają chów pszczół. Dobre pszczoły poznać możemy, albo przez wagę, albo przez zajrzenie w środek, albo gdy już wylatują na robotę przez ich lot. Waga da się tylko do kószek zastósować. Próżną kószkę zważywszy, odciągnąć potem jej ciężkość od całej ciężkości kószki z pszczołami. Pszczoły ze swoją robotą bez kószki ważące od dwudziestu do dwudziestu czterech funtów na wiosnę można już dobremi nazwać, jeżeli mniej ważą, już są podłe, a jeżeli więcej ważą, będą tem lepsze. Waga przecież nie zawsze jest pewna, lecz trzeba przy tem zajrzeć w środek. Często bowiem pszczół może być wiele i zapasu podostatkiem a może królowej nie być, a tak pszczoły wyginą, albo przy złem przechowaniu ich przez zimę mają miodu pod dostatkiem, ale scukrzonego, którego pożywać nie mogą i są blizkie upadku. Pszczoły dobre powinny być nietylko ciężkie, lecz też liczne i raźne i mające świeżą robotę a nie starą i czarną.

Najlepiej nabywać pszczoły na wiosnę i obrać takie, które nie są jeszcze podbierane a są liczne. Poznaje się ich liczność po rzęsistem lataniu na robotę i powracaniu, a każdego czasu po mocnym szumie w kószce, lub ulu, skoro się zapuka do niego. Gdy jeszcze po zapukaniu zaraz z ula lub kószki wychodzą wylotem, to jest dobry znak ich liczności. Zimą chcieć

tym sposobem poznawać pszczoły nie jest dobrze, ani dla pszczół, ani dla kupującego. Jeżeli się nabywają pszczoły latem, a szczególniej nowe roje, tedy nie można się spuścić na wagę, ale zajrzeć trzeba, ile mają roboty wykończonej i czy pilnie pracują, aby można osądzić po ich liczności i zwinności, czy sobie zarobią tyle, ile potrzebują na własną żywność przez całą zimę i początek wiosny. Pszczoły dobre potrzebują na zimę najmniej dwadzieścia funtów miodu. Starych pszczół np. sześcioletnich nie radzę nabywać, chociaż pszczoły właściwie nie starzeją się, bo się co roku odnawiają młodo wylęgłemi, ale ich robota starzeje się. Można je, co jest głównym warunkiem, odmładzać t. j. ze starych kószek przesadzać do nowych, a tak będą: węza, miód i cała robota czyste i białe.

Pszczoła powinna być długa, czarnociemna i lśniąca się; te przymioty mając, będzie w swej naturalnej dobroci. Takie pszczoły mogą tylko pochodzić z czystej, białej i świeżej węzy, bo w starej lęgą się coraz mniejsze, gdyż po każdem wyjściu młodo wylężonej pszczoły z komórki, zostaje po niej błonka w komórce, a przez to ścieśniać się będzie tem bardziej, im starsza węza zostanie, z której będą co roku mniejsze pszczoły się wylęgały. Zajrzawszy do ula lub kószki, można się naocznie przekonać, że im starsze są pszczoły, tem ciemniejszą i czarniejszą mają robotę, a im młodsze tem bielszą. Bartnik doświadczony umie temu zaradzić i przy rostropnem obchodzeniu się może i dwadzieścia lat pszczoły utrzymać, które będą jednak dobre, ale początkowy nie powinien się na to zapatrywać.

Radzić każdemu początkującemu wypada, żeby albo od człowieka rzetelnego nabył pszczoły, albo żeby sobie takiego uprosił do wybrania dobrych pszczół, który się zna i sam trudni się ich chowem a niechaj unika zabobonnych i sam niech się zabobonów strzeże. Zakładając chów pszczół, nie trzeba nigdy mniej nabywać, jak trzy, lub cztery kószki, bo tyle zabiegów około czterech, ile około jednej.

Nie trzeba też być na początku chciwym na miód i wosk. Ze czterech początkowych kószek dobrych pszczół, bez nakładu szczególnego można dochować się znacznej liczby rojów w krótkim czasie, czego z mniejszą liczbą dokazać nie można. Im

więcej we wsi jest pszczół, tem bardziej i pilniej pracują, jakby na wyścigi; to jest rzecz doświadczona.

Terazby szło o przeprowadzenie pszczół: Zimą na saniach najłatwiej, jeżeli z daleka mają się sprowadzić, jeżeli na wozie, należy unikać wielkiego trzęsienia, szturchania itp. jeżeli blizko, to je można na drągu zawiesić i przenieść. Zresztą w każdej porze roku można pszczoły przeprowadzać, aby tylko wszelką ostrożność zachować chciano, żeby roboty nie oberwać. Na wiosnę, jak już pszczoły wylatują na robotę, tedy trzeba do późnego wieczora czekać, aż wszystkie powrócą z robotą, dopiero zasunąć wylot podziurawioną blaszką i nocą przewieść je i postawić na miejsce przeznaczone, ile możności wylotem do wschodu słońca. Jeżeli w miejscu nabywają się pszczoły, tedy należy je do siebie przenieść, nim zaczną wylatywać na robotę, gdyż później ginęłoby ich wiele, boby wracały na stare miejsce, do którego się przyzwyczaiły. Gdyby kto chciał zdaleka pszczoły już wylatujące na robotę sprowadzić wśród lata, tem większą trzeba zachować ostrożność, bo gdyby sobie znalazły wyjście, tedy rozbestwione i siebie i ludzi i konie zgubićby mogły. W takim więc czasie nim się na wóz poustawiają, trzeba dobrze opatrzyć, aby jeżeli są gdziekolwiek otwory, a nawet najmniejsze szczeliny, były dobrze gliną zalepione, toż samo uczyni się z wylotem, zostawując małe dziurki np.: kawałki słomy wlepione we wylot, albo podziurawioną blaszkę przytwierdzić; lecz to wszystko dopiero na wieczór, gdy już powrócą wszystkie z roboty. Jeżeli więc wypada komu w letnim czasie kilkodniową podróż odprawić, nie należy nigdy w słotne dni tego czynić, a gdyby słota w drodze napadła, trzeba kószki lub ule dobrze ochronić. Podróż taka z pszczołami odprawiać się może tylko w nocy. Przed wschodem słońca z niemi się stanie na miejscu bezpiecznem opodal ode drogi, kószki porozstawiają i wyloty otworzą się. Powstanie wprawdzie u pszczół zamieszanie, lecz ku wieczorowi uspokoją się i na wóz znowu wziąć je można. Ostrzegam zaś, żeby przed rozstawieniem ich konie odłożyć od woza i trzymać je na pięćdziesiąt kroków od pszczół, aby uniknąć przypadku. *(Sz. Niedz.)*

Posłaniec z tamtego świata.

Tam gdzieś nad Wisłą przed dawnemi laty stał młyn o dwóch kołach; była to własność Grzegorza Mąki, dostał on go w posagu za swoją żoną Magdą. Że się dobrze rządził, miał wszystkiego podostatkiem, bo i nie mało gruntu, łąk i olszyny do niego należało. Magda była gospodyni co się zowie, tylko cokolwiek łatwowierna, dla tego ją też niejeden podszedł i oszukał. Przy tych wszystkich dostatkach jednego dał im Bóg syna, ale ledwo piętnasty rok skończył, wpadł w ciężką chorobę, i mimo największych zabiegów cyrulika z pobliskiego miasta umarł a cały młyn w nieutulonym zostawił żalu. Czas, mówią, rany goi, lecz nie u wszystkich. Grzegorz rozsądniejszy zgadzał się z wolą Najwyższego, ale Magda to się utulić nie mogła — zawsze smutna, zapłakana, zawsze tylko o Mateuszku myślała.

Zdarzyło się razu pewnego, a było to latem, że Grzegorz pojechał do miasta, czeladź poszła w pole, sama młynarka została w domu, krzątając się około swoich zatrudnień — cała w zadumaniu. Wtem psy zaszczekały, ocknęła się i wejrzała na podwórze, a tu idzie dziad z siwą brodą, z zawieszonemi na obu ramionach torbami i niemałym kosturem. Pochwalił Pana Boga, i zaczął śpiewać: O Gospodzie uwielbiona! Magda ukrajała kawał świątłego chleba, włożyła na niego masła, a dając żebrakowi, rzecze:

— Zkądżeście staruszku?

— Moja gosposiu — odpowiada tenże — z tamtego świata.

— A nie widzieliście tam mego Mateuszka? — zapytała z ciekawością.

— Bogaciem tam nie widział — odpowiada dziad filut. Ale cóż wam tam mam o nim powiadać, źle mu się tam powodzi, źle, obdarty, opalony, głodny. Jakem tu szedł, pasł przy drodze świnie; nie mógł im poradzić, płakał nieboraczek, aż mi go żal było!

— O ja nieszczęśliwa matka! — westchnęła młynarka, i dalej do komory.

Nabrała szmat po nieboszczyku, nasypała w worki mąki, jagieł, nakładła słoniny, sera, chleba, zawinęła w chuście pieniędzy, a zawinąwszy to wszystko w płachtę, wyniosła żebrakowi z prośbą, aby to zabrał Mateuszkowi. Nie wzbraniał się dziad tej przysługi, ile że i jemu garść groszów wcisnęła w rękę. Pobrał co mu dano, i tak obładowany podziękowawszy za jałmużnę, puścił się drożyną ku olszynie. Młynarka wyprowadziła go aż za wrota i ze łzami prosiła, aby Mateuszka mile od niej i od ojca i od wszystkich pozdrowił, i dodała:

— A powiedzcie mu tam, jak mu czego braknie, to niech nam da znać.

— Dobrze, dobrze, — dziad odpowiedział, a stękając postępował dalej.

Patrzała za nim długo zapłakana Magda, a gdy jej zniknął z oczu, wróciła smutna do izby. W godzinę powrócił Grzegorz z miasta. Żona wybiegła do niego i opowiada mu, co słyszała o Mateuszku i co mu przez dziada posłała. Mąka wzdrygnął ramionami, połajał za łatwowierność żonę:

— To oszust był — rzecze — co cię w pole wywiódł i tyś mu mogła uwierzyć? a kędyż poszedł?

— Tam ku olszynie — powiada, szlochając młynarka.

Grzegorz siada tedy czemprędzej na konia i pędzi za dziadem. Dojechał go w środku olszyny, ale, że z pospiechu nic nie wziął w rękę, zsiada z konia i prosi żebraka, aby mu go chwilkę potrzymał, bo sobie musi prątek urznąć na konia. Dziad nie wymówił się z usługi, zwąchawszy przecie pismo nosem, że to nie na konia ma być ów pręcik, gdy młynarz zabawia się rznięciem tęgiego łętaka, on przełożywszy sakwy na konia, siada nań i w nogi.

Struchlał Mąka na to, co się stało, lecz cóż miał robić? wrócił z kwitkiem do domu. Żeby mu zaś Magda nie suszyła głowy, że i on tak mądry — a dał się oszukać, zamilczał. Pytałać go się żona:

— Jakże dojechałeś go? gdzież masz konia?

Mąż odpowiedział z żartem:

— A dyć tak jest, jakeś powiedziała! posłałem i konia Mateuszkowi, aby miał na czem świnie zawracać!

RÓŻNOŚCI.

O kościele żółkiewskim i pomniku króla Jana III. Przed dwoma laty pisaliśmy wam szeroko o mieście Żółkwi i jego panach, hetmanie Stanisławie Żółkiewskim i sławnym królu Janie III. Donosiliśmy wam także, że w kościele żółkiewskim znaleziono w kaplicy w podziemnym grobowcu trumny z prochami królewiczów Jakóba i Konstantego Sobieskich, synów naszego walecznego króla Jana III Trumny te polskich królewiczów były w wielkiej poniewierce i dopiero przed trzema laty proboszcz żółkiewski i inni panowie kazali zrobić nowe piękne trumienki na prochy królewiczów, a potem odbyło się za ich dusze wielkie nabożeństwo w Żółkwi, na które się niezliczona mnogość ludu zebrała. Zaś potem robiono składki przez całe dwa lata, aby te drogie i święte pamiątki po hetmanach, królach i królewiczach polskich, które się znajdują w kościele żółkiewskim naprawić i odnowić.

Otóż to właśnie teraz nadchodzi chwila, kiedy to za staraniem obecnego xiędza proboszcza rozpocznie się tego roku w maju odnowienie całego kościoła i wszystkich tych pamiątek narodowych, dawnych zabytków sławy naszej. Wiele to wiele na to pieniędzy potrzeba, a jak już mówiliśmy od dwóch lat już zbierały się składki po całym kraju. Najjaśniejszy pan, którego to ojciec Franciszek Karol arcyksiążę kiedy odwiedzał ten kościół jeszcze w roku 1823 nie mógł się dość napatrzeć tym pamiątkom, — ofiarował sam na odnowienie kościoła tego 200 dukatów w złocie i pozwolił zbierać składki po całym kraju. Nie zapomniał ci szanowny xiądz proboszcz o żadnej sposobności, by uzyskać potrzebnych do tego pieniędzy. Na początek kazał odbić medaliki na pamiątkę z tego srebra, co znaleziono kolo trumien w grobowcu królewiczów. Potem krzątał się ochoczo około zbierania składek. Sprzedają teraz wizerunki cudownego Chrystusa, zdjęte z obrazu w Rzymie, do którego to ludzie w największej potrzebie się udają, a który to obraz za przyzwoleniem Ojca św. Piusa IX w roku 1863 dnia 13 września, jako rocznicy oswobodzenia wiary chrześciańskiej pod Wiedniem przez króla Jana III, zdjęto z ołtarza i z wielką uroczystością obnoszono go z procesyą w Rzymie na ubłaganie łaski i miłosierdzia dla narodu polskiego. Każdy, kto sobie taki wizerunek z modlitwą drukowaną kupi, przyczyni się do odnowienia kościoła, a dostanie takich obrazków nietylko u szanownego xiędza proboszcza w Żółkwi ale i w sklepach we Lwowie, gdzie sprzedają obrazy, i wielu ludzi w kraju trudni się rozsprzedawaniem tych wizerunków. Są także i obrazy, co przedstawiają ładny rysunek kościoła farnego w Żółkwi, a oba te obrazki dostanie po 50 centów. Uzbierała się już znaczna sumka, ale czy to wszystko wystarczy? Kiedy to samo ru-

sztowanie do tysiąca reńskich kosztuje. A może, gdy starczy pieniędzy, sprowadzą nazad do Żółkwi owych siedm posągów kamiennych króla Jana III i syna jego Jakóba, Stanisława Żółkiewskiego, Daniłowicza i Radziwiłłów, co to do nie dawna stały na froncie zamku królewskiego w Żółkwi, a ludzie bez czci i sumienia postrącali je na ziemię, gdzie o najdroższe pamiątki największych mężów naszych bydło tarzało swe boki, przewracało je i deptało, aż się zlitował nad niemi pewien czcigodny Polak (Aleksander hrabia Stadnicki) i zabrał je do swej majętności Magierowa, postawił w przyzwoitem miejscu i uchronił od zupełnej zagłady. Imię i nazwisko każdego, kto sobie kupi ów wizerunek cudowny, o którym wam wspomniał, zostanie zapisane w poczet fundatorów tego kościoła, a za ich dusze odprawiać się będzie nabożeństwo w tym kościele po wieczne czasy.

Ale jeszcze nie koniec na odnowieniu kościoła. W rynku miasta Żółkwi, przy samej drodze do Rawy będzie postawiony piękny posąg sławnego króla polskiego Jana Sobieskiego, co to Wiedeń od Turków uratował. Posąg będzie 7 stóp wysoki, a robi go majster jeden krakowski, co się pewnie swej roboty nie powstydzi. Pod kamiennym wizerunkiem króla Jana III taki będzie położony napis: *„Pogromcy Turków, obrońcy Wiednia, oswobodzicielowi Chrześciaństwa, ku wdzięcznej potomnych pamięci roku pańskiego 1865.“* Ale aby ten pomnik prędko był postawiony, potrzeba, aby w całym kraju poczciwi Polacy przyłożyli się swym datkiem, przez rozkupienie owych pięknych obrazków, bo by może inaczej nie starczyło grosza na posąg dla króla Jana, a toby już był istny wstyd dla nas wszystkich.

Głód w górach. Temi laty to już znać gniew Boży cięży nad naszą biedną krainę polską, bo to przypomnijcie sobie jeno, ile to klęsk na nas przez te dwa ostatnie lata spadło. Aby już i nie mówić o strasznym wylewie krwi, bo to aż serce pęka od samej spominki — i powodzie i grady i ognie wszystko to na nas spadło. Zaś teraz piszą po gazetach, że w górach między ruskim ludem, jak np. w Samborskiem, Sanockiem i na Pokuciu panuje głód wielki tak że ladajaki z głodu zamiera. Tyle tylko że jest nadzieja w Bogu i dobrych ludziach, że ich tam w tej nędzy poratują. Panowie polscy co to są w Wiedniu, w radzie Państwa dali tam znać o tem nieszczęściu — a wysoki rząd obiecał, że zapomoże ludek górski i zwolni go z podatków aby mógł choć pole obrobić i bożego lata i nowego chleba się doczekać.

Tymczasem zaś inni panowie rozbierają ludzi górskich do siebie na zarobek rozmaity, aby ich od nędzy i głodu ochronić.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.